



F. Scott Fitzgerald

**Wielki
Gatsby**

Francis Scott Fitzgerald

Wielki Gatsby

Wydawnictwo Łukasz Tomys Publishing

ROZDZIAŁ I

Gdy byłem młodszy i bardziej wrażliwy, ojciec dał mi pewną radę, którą od tamtej pory stale powtarzam w myślach.

– Zawsze, gdy tylko przyjdzie ci ochota, aby kogoś skrytykować – rzekł – pamiętaj, że większość ludzi na tym świecie nie cieszy się takimi przywilejami, z jakich ty korzystasz.

Nie powiedział nic więcej, ale to wystarczyło. Zawsze był niezwykle oszczędny w słowach i w lot pojąłem, że w jego wypowiedzi tkwi głębszy sens. W konsekwencji ojcowskiej rady nabrałem skłonności do powściągliwości we wszelkich osądach. To nawyk, który otworzył przede mną serca wielu ciekawych osób, a także sprawił, że padłem ofiarą niejednego nudziarza. Ludzki umysł, wytrącony z równowagi, szybko wykrywa tę cechę i przywiązuje się do niej, gdy tylko znajdzie ją u jakiegoś normalnego człowieka, i w ten sposób doszło do tego, że na studiach niesłusznie oskarżono mnie o dwulicowość, ponieważ byłem wtajemniczany w sekretne wyznania nieraz zupełnie obcych, nieznanym mi ludzi. Nie miałem ochoty wysłuchiwać większości tych zwierzeń – często udawałem senność, bycie zajęтым lub pozorowałem posępną powagę, gdy dostrzegałem jakiś nieomylny znak, że na horyzoncie majaczy intymne zwierzenie, osobiste wynurzenie jakiegoś człowieka. Zauważyłem także, że słowa, w jakie je ujmują, są zazwyczaj plagiatami trącącymi banałem. Wstrzymywanie się z osądami jest kwestią ciągłego podtrzymywania płomienia nieskończonej nadziei. Wciąż krok w krok chodzi za mną jednak obawa, że coś przegapię, coś mi umknie, jeśli zapomnę, że – jak snobistycznie podkreślał mój ojciec, a ja snobistycznie powtarzam – poczucie zwyczajnej przyzwoitości nie jest przy urodzeniu rozdzielane po równo.

A jednocześnie, gdy tak się chwalebę swoją tolerancją, dochodzę do wniosku, że i ona ma jednak swoje granice. Postępowanie człowieka może mieć fundament na twardej skale lub na mokrych bagnach, ale po pewnym czasie przestaje mnie już obchodzić, jakie są jego podstawy. Kiedy zeszłej jesieni wróciłem ze Wschodu,

zapraǳnałem, aby świat, w którym żyję, przestrzegał moralnych zasad z wojskową dyscypliną; nie potrzebowałem już więcej rozedrganych emocjami wycieczek w odmęty ludzkich serc, w których to podróǳach biletem była moja wrażliwość. Jedynym człowiekiem, który nie poruszał we mnie tych strun irytacji, był Gatsby, który dał tytuł tej ksiąǳce – reprezentował on wszystko to, dla czego żywię w sercu pogardę. Jeśli przyjmiemy założenie, że na wielką osobowość składa się nieprzerwane pasmo działań zwieńczonych sukcesem, to było w nim coś wspaniałego, jakaś szczególna intuicja podpowiadająca mu, gdzie tkwią ǳciowe szanse, jakby był połączony z jedną z tych skomplikowanych maszyn, które rejestrują trzęsienia ziemi oddalone o tysiące mil. Ta cecha osobowości nie miała nic wspólnego z ową wiotką podatnością na bodźce, którą wzniośle określa się mianem „twórczego temperamentu” – był to raczej niezwykły dar nadziei, romantyczność, jakiej nigdy nie spotkałem u ǳadnej innej osoby i jakiej prawdopodobnie już nigdy nie spotkam. Nie – finalnie Gatsby okazał się w porządku, lecz to, co ǳerowało na Gatsbym, co niczym nieświeży kurz unosiło się na powierzchni jego marzeń, na pewien czas sprawiło, że straciłem zainteresowanie ludzkimi smutkami i uniesieniami.

Moja rodzina od trzech pokoleń zaliczana jest do prominentnych, dobrze sytuowanych ludzi mieszkających na Środkowym Zachodzie. Carrawayowie są czymś w rodzaju klanu i, wedle tradycji, wywodzimy się od ksiąǳąt Buccleuch, ale faktycznym założycielem mojego rodu był brat ǳiadka, który przybył tu w 1851 roku, unikając walk na froncie podczas wojny secesyjnej za sprawą opłaconego człowieka. Następnie założył hurtownię narzędzi stalowych, którą obecnie prowadzi mój ojciec.

Nie dane mi było poznać tego przodka, ale ponoć jestem do niego podobny, zwłaszcza jeśli spojrzeć na oblicze z nieszczególnie udanego portretu, który wisi w gabinecie ojca. Ukończyłem Yale w 1915 roku, ćwierć wieku po ojcu, a nieco później wziąłem udział w tej przeciągającej się krucjacie, znanej jako Wielka Wojna. Wojaczka wyzwoliła we mnie takie pokłady energii, że po powrocie

nigdzie nie mogłem zagrześć miejsca. Środkowy Zachód, zamiast okazać się przytulnym pępkiem świata, wydawał mi się teraz jego zaniedbanymi peryferiami – postanowiłem więc wyjechać na Wschód i nauczyć się maklerskiego fachu. Wszyscy, których znałem, siedzieli w tym biznesie, więc uznałem, że znajdzie się w nim miejsce dla jeszcze jednego samotnego faceta. Cała rodzina rozprawiała o tej decyzji, jakby chodziło co najmniej o wybranie mi szkoły, i w końcu z poważnymi, ale niezbyt zdecydowanymi minami, stwierdziła:

– No, koniec końców... dlaczego by nie?

Ojciec przystał na to, by przez rok wspierać mnie finansowo i po różnych drobnych perturbacjach przyjechałem na Wschód, na stałe, jak sądziłem, wiosną 1922 roku.

Praktycznym rozwiązaniem było wynajęcie mieszkania w mieście, ale było ciepło, a ja dopiero co opuściłem strony, w których nie brakowało szerokich trawników i przyjaznych drzew, więc kiedy młody człowiek z biura zaproponował, żebyśmy razem wynajęli dom na przedmieściach, wydawało mi się to świetnym pomysłem. Za osiemdziesiąt dolarów miesięcznie znalazł podniszczony parterowy domek o ścianach cienkich jakby były zrobione z tektury, ale w ostatniej chwili firma, w której pracowałem, kazała mu przenieść się do Waszyngtonu, więc ostatecznie na wieś pojechałem sam. Miałem psa – co prawda tylko przez kilka dni, dopóki nie uciekł – i starego dodge'a, a także fińską gosposię, która ścieliła mi łóżko, przygotowywała śniadania i mamrotała do siebie skandynawskie mądrości nad kuchenką elektryczną.

Dzień czy dwa upłynęły mi w samotności, a potem pewnego ranka zatrzymał mnie na drodze pewien człowiek, który najwyraźniej przybył tu później niż ja.

– Jak dostanę się do West Egg? – zapytał bezradnie.

Wyjaśniłem mu. I odtąd nie czułem się już tak samotny. Stałem się przewodnikiem, tropicielem, pierwotnym osadnikiem. Ten

przypadkowo spotkany człowiek swoim pytaniem sprawił, że nagle poczułem się swojsko w tej okolicy.

I tak dzięki coraz mocniej świecącemu słońcu i pękom liści wyrastającym na drzewach w przyspieszonym tempie, tak jak to się dzieje tylko w filmach, nabrałem przyjemnego przekonania, że wraz z nadejściem lata życie zaczyna się od nowa.

Po pierwsze, czekało na mnie mnóstwo książek do przeczytania i postanowiłem nabrać sił, ciesząc się tym czystym, letnim powietrzem. Kupiłem kilkanaście tomów o bankowości, kredytach i inwestycjach w papiery wartościowe, które stały na mojej półce, lśniąc czerwienią i złotem jak nowe pieniądze z mennicy, obiecując odkryć tajemnice znane tylko Midasowi, Morganowi i Mecenasowi. Oprócz tego miałem zamiar przeczytać wiele innych pozycji. W college'u pasjonowałem się literaturą – jednego roku napisałem serię bardzo patetycznych, choć mało odkrywczych artykułów dla „Yale News” – a teraz zamierzałem wrócić do tych wszystkich pasji i ponownie stać się człowiekiem o wszechstronnych zainteresowaniach, co w gruncie rzeczy było górnolotnym określeniem osoby bardzo ograniczonej. I nie jest to wcale paradoks. Na życie najlepiej jest spoglądać z jednej, wąskiej perspektywy.

Zrządzenie losu sprawiło, że wynająłem dom akurat wśród jednej z najdziwniejszych społeczności Ameryki Północnej. Było to na tej smukłej, pełnej życia wyspie, która rozciąga się na wschód od Nowego Jorku i na której, oprócz innych ciekawostek przyrodniczych, znajdują się dwie niezwykle formacje skalne. Jakieś trzydzieści kilometrów od miasta para ogromnych półwyspów w kształcie jaj, o identycznych konturach i oddzielonych jakby z przyzwoitości zatoczką, wystaje z najbardziej zurbanizowanych wybrzeży oceanicznych na półkuli zachodniej, na wielkim zalewie Long Island Sound. Nie są one idealnymi owalami, podobnie jak jajo Kolumba, oba są spłaszczone na jednym końcu, ale ich fizyczne podobieństwo musi być źródłem nieustannego zdumienia dla mew, które latają nad głowami mieszkańców. Dla istot bezskrzydłych

bardziej interesującą obserwacją jest fakt, że choć łączy je kształt i wielkość, to pod każdym innym względem jaja są od siebie różne.

Mieszkałem w West Egg, czyli mniej modnym z tych dwóch miejsc, choć określenie „modne” to bardzo płytka etykieta dla wyrażenia dziwnego i trochę niepokojącego kontrastu między nimi. Mój dom znajdował się na samym krańcu owalu, zaledwie kilkadziesiąt metrów od wody, wciśnięty między dwa ogromne budynki, które wynajmowano za kilkanaście tysięcy za sezon. Ten po mojej prawej stronie był kolosem w każdym calu – był wierną imitacją jakiegoś ratusza w Normandii, z wieżą po jednej stronie, lśniąca nowością pod rzadkim zarostem dziko rosnącego bluszczu, z marmurowym basenem oraz ponad szesnastoma hektarami trawnika i ogrodu. Była to rezydencja Gatsby’ego. A raczej, ponieważ nie znałem pana Gatsby’ego osobiście, była to rezydencja zamieszкана przez dżentelmena o tym nazwisku. Mój skromny domek mógł razić w oczy, jednak w związku z tym, że był tak niepozorny, nie przyciągał uwagi i łatwo go było przeoczyć. Miałem więc widok na wodę, częściowy widok na trawnik sąsiada i krzepiące sąsiedztwo milionerów – a wszystko to za osiemdziesiąt dolarów miesięcznie.

Po drugiej stronie zatoki, mieniły się białe pałace modnego East Egg, a historia owego lata tak naprawdę zaczęła się tego wieczoru, kiedy pojechałem tam na kolację do Toma Buchanana i jego żony. Daisy była moją daleką kuzynką, a Toma znałem jeszcze z czasów studiów. Odwiedziłem ich zaraz po wojnie i spędziłem z nimi w Chicago dwa dni.

Mąż Daisy, obok wielu innych osiągnięć sportowych, był jednym z najlepszych zawodników, jacy kiedykolwiek grali w futbol w New Haven – w pewnym sensie był bohaterem narodowym, jednym z tych ludzi, którzy w wieku dwudziestu jeden lat osiągnęli tak wysoki poziom doskonałości w jakiejś dziedzinie, że nic z tego, co dzieje się później, nie jest już w stanie ich satysfakcjonować, a jedynie przynosi rozczarowania. Jego rodzina była szalenie zamożna – już w czasach studenckich krytykowano go za szastanie pieniędzmi na prawo i lewo, ale teraz, kiedy opuścił Chicago i przeniósł się

na Wschód, działał z rozmachem, który zapierał dech w piersiach. Żeby dać przykład: sprowadził z Lake Forest stado kucyków do gry w polo. Trudno było uwierzyć, że ktokolwiek z mojego rocznika mógłby sobie na coś takiego pozwolić.

Nie mam pojęcia, dlaczego przyjechali na Wschód. Wcześniej spędzili rok we Francji bez żadnego konkretnego powodu, a potem notorycznie zmieniali adresy, bywając tu i ówdzie, udając się wszędzie tam, gdzie bogaci ludzie zabijają czas, grając w polo. Tym razem miała to być przeprowadzka na stałe, jak przez telefon oznajmiła mi Daisy, jednak ja w to nie wierzyłem – nie miałem wglądu w jej serce, ale czułem, że Tom nadal będzie dryfował, z tęsknotą, wiecznie szukając skrajnych emocji i zawirowań, nieuchronnie zostawionych za sobą na którymś z futbolowych boisk.

I tak się złożyło, że w pewien ciepły, wietrzny wieczór pojechałem do East Egg, aby spotkać się z tymi ludźmi, których w gruncie rzeczy prawie w ogóle nie znałem. Ich dom był jeszcze bardziej wyszukany, niż się spodziewałem. Była to wesola, czerwono-biała rezydencja w stylu georgiańskim, z widokiem na zatokę. Trawnik zaczynał się już na plaży i przez kilkaset metrów biegł w kierunku drzwi wejściowych, jakby przeskakując przez zegary słoneczne, rozsypany żwirek i kwitnące kwietniki – a w końcu, gdy dotarł pod dom, jakby pod wpływem impetu, rozlewał się po jego ścianach jasnymi pnączami. Fasadę budynku przecinała linia przeszklonych wysokich okien, świecących teraz odbitym złotem słonecznego blasku, szeroko otwartych na ciepłe, wietrzne popołudniowe powietrze, a na frontowym ganku stał z szeroko rozstawionymi nogami Tom Buchanan w stroju przeznaczonym do konnej jazdy.

Zmienił się od czasów w New Haven. Był teraz krzepkim mężczyzną po trzydziestce, o włosach w kolorze słomy, dość ostro zarysowanych ustach i wyniosłym sposobie bycia. Dwoje błyszczących, aroganckich oczu zdominowało jego oblicze i sprawiało wrażenie, jakby zawsze był gotów do agresywnego ataku. Nawet delikatne, noszące w sobie akcenty zniewieściałości ubranie do jazdy konnej nie było w stanie zamaskować ogromnej siły

jego ciała – wydawało się, że jego mocne nogi, wbite w obuwie, aż naprężają sznurowadła, a gdy tylko Tom poruszył ramionami, pod cienkim płaszczem można było dostrzec napinające się mięśnie. Było to ciało o potężnej sile – ciało okrutne.

Jego głos, ochrypliwy, szorstki tenor, potęgował wrażenie jego oschłości. Brzmiała w nim nuta protekcyjnej pogardy, nawet wobec ludzi, których lubił, dlatego w New Haven było sporo takich, którzy go wręcz nienawidzili.

„Och, nie myśl sobie, że moja opinia w tych sprawach jest decydująca – zdawał się mówić – tylko dlatego, że jestem silniejszy i bardziej męski od ciebie”.

Należeliśmy do tego samego bractwa studenckiego i chociaż nigdy nie było między nami zażyłości, zawsze odnosiłem wrażenie, że mnie akceptuje i chce, żebym go lubił, z charakterystycznym dla siebie zuchwałym imperatywem.

Przez kilka minut rozmawialiśmy na skąpanej w promieniach słonecznych werandzie.

– Ładnie mam tutaj, prawda? – bardziej stwierdził niż zapytał, rzucając przy tym niespokojne spojrzenie.

Obróciwszy mnie za ramię, szeroką, płaską dłońią wskazał na widok obejmujący zatopiony w zieleni włoski ogród, pole obrosnięte różami i motorówkę z ostrym dziobem, która kołysała się przy brzegu.

– To wszystko należało do Demaine’a, nacierza. – Znowu mnie obrócił, grzecznie, ale zdecydowanie. – Wejźmy do środka.

Przeszliśmy przez wysoki korytarz do jasnej przestrzeni utrzymanej w różowej tonacji, na obu końcach połączonej z domem przeszklonymi, uchylonymi balkonowymi drzwiami, lśniąco-białą na tle świeżej trawy, która zdawała się wnikać do wnętrza domu. Przez pokój przeszedł lekki powiew powietrza, który rozwiał zasłony po obu stronach, zakręcając nimi jak wypłowiałymi flagami w górę ku ozdobnej sztukaterii sufitowej, a następnie opuścił, tak

by falowały po dywanie w kolorze wina, tworząc na nim cień, jaki wiatr rzuca na morze.

Jedynym całkowicie nieruchomym przedmiotem w pokoju była ogromna sofa, na której, jak na przytwierdzonym do ziemi balonie, unosiły się dwie młode kobiety. Obie były ubrane na biało, a ich suknie marszczyły się i trzepotały, jakby właśnie wylądowały po krótkim locie wokół domu. Kilka chwil stałem tak, słuchając uderzeń i trzasków zasłon oraz wpatrując się w obraz zawieszony na ścianie. Potem rozległ się trzask zamykanych przez Toma Buchanana tylnych drzwi. Uwięziony w pomieszczeniu wiatr ucichł, a zasłony i dwie młode kobiety powoli opadały ku ziemi.

Młodsza z nich była mi obca. Siedziała, rozciągnięta na całej długości na jednym końcu kanapy, zupełnie nieruchomo, z lekko uniesionym podbródkiem, jakby balansowała na nim czymś, co z dużym prawdopodobieństwem mogło stamtąd spaść. Jeśli dostrzegła mnie kątem oka, to nie dała tego po sobie poznać – byłem tym tak zaskoczony, iż omal nie wymamrotałem z uniżeniem przeprosin, że swoim wejściem w ogóle ośmieliłem się jej przeszkodzić.

Druga dziewczyna, Daisy, spróbowała się podnieść – pochyliła się lekko do przodu z przejęciem malującym się na jej twarzy – po czym wybuchnęła absurdalnym, uroczym śmiechem, a ja odpowiedziałem tym samym i podszedłem do niej.

– Aż mnie spa-sparaliżowało ze szczęścia.

Znowu się roześmiała, jakby powiedziała coś bardzo dowcipnego, i przez chwilę trzymała mnie za rękę, patrząc mi prosto w twarz, zapewniając, że nie ma na świecie nikogo, kogo tak bardzo chciałaby zobaczyć. Taki miała sposób bycia. Szepnęła, że dziewczyna z uniesionym podbródkiem nazywa się Baker. (Słyszałem, że zdaniem niektórych Daisy mówiła przyciszonym głosem tylko po to, żeby ludzie pochyłali się ku niej; była to mało istotna uszczypliwość, która jednak ani trochę nie odbierała jej wdzięku).

Naraz usta panny Baker poruszyły się, niemal niezauważalnie skinęła w moją stronę, a potem szybko odchyliła głowę do tyłu – najwyraźniej utrzymywany podbródkiem w pionie przedmiot lekko się zachwiał i nieco wystraszyła się, że spadnie. Znów byłem gotów wypowiedzieć słowa przeprosin. Prawie każdy przejaw całkowitej samowystarczalności wywołuje u mnie zdumienie i wzbudza szacunek.

Spojrzałem ponownie na kuzynkę, która zaczęła zadawać mi pytania swoim niskim, melodyjnym, hipnotyzującym głosem. Był to ten rodzaj głosu, za którym ucho podąża z uwagą, tak jakby każda wypowiedź była partyturą niemającą już nigdy być zagrana powtórnie. Uroczą twarzyczkę, na której malował się pewien melancholijny smutek, rozświetlały błyszczące oczy i połyskujące namiętnością usta. W jej wibrującym głosie można było usłyszeć obiecującą nutę podniecenia, którą wychwytywali uwielbiający moją kuzynkę mężczyźni. Szeptana przez nią z subtelnym zaśpiewem prośba „Posłuchaj” była zapowiedzią opowieści o tym, że właśnie robiła coś radosnego i emocjonującego, przy czym najbliższe chwile upłyną na równie rozkosznych i wesołych przyjemnościach.

Opowiedziałem jej o tym, jak w trakcie drogi na Wschód zatrzymałem się na jeden dzień w Chicago, gdzie spotkałem wiele osób przesyłających jej serdeczne pozdrowienia.

– Czyli tęsknią za mną? – zapytała z zachwytem.

– Całe miasto jest pogrążone w smutku. Wszystkie samochody mają lewe tylne koło pomalowane na czarno na znak żałoby, a nocą nad brzegiem jeziora Michigan słychać niekończące się lamenty i zawodzenia.

– Jak cudownie! Wracajmy, Tom. Jutro!

A potem dodała mimochodem:

– Musisz zobaczyć nasze maleństwo.

– Chciałbym.

– Ona śpi. Ma trzy latka. Nigdy wcześniej jej nie widziałeś?

– Nigdy.

– Cóż, w takim razie koniecznie musisz ją zobaczyć. Ona jest...

Tom Buchanan, który przez cały czas niespokojnie kręcił się po pokoju, teraz stanął obok mnie i położył mi rękę na ramieniu.

– Czym się zajmujesz, Nick?

– Siedzę w papierach wartościowych.

– U kogo?

Powiedziałem mu.

– Nigdy o nich nie słyszałem – stwierdził zdecydowanym tonem, w którym usłyszałem pewną nutę lekceważenia.

Było to irytujące.

– Jeszcze usłyszysz – odpowiedziałem krótko. – Usłyszysz pod warunkiem, że zostaniesz na Wschodzie.

– Och, zostanę na pewno, o to się nie martw – odparł, zerkając to na Daisy, to na mnie, jakby sondował naszą reakcję na jego słowa. – Byłbym cholernym głupcem, gdybym zamieszkał gdzie indziej.

W tym momencie panna Baker krzyknęła: „Absolutnie!” – uczyniła to tak gwałtownie, że aż podskoczyłem. Było to pierwsze słowo, jakie wypowiedziała od momentu, gdy wszedłem do pokoju. Najwyraźniej jej impulsywna reakcja zaskoczyła ją tak samo jak mnie, bo ziewnęła i wykonując serię szybkich, zręcznych ruchów, wstała z miejsca.

– Całkiem zeszywniałam – poskarżyła się. – Leżę na tej sofie, odkąd pamiętam.

– Nie patrz tak na mnie – zwróciła się do niej Daisy. – Całe popołudnie próbowałam cię wyciągnąć do Nowego Jorku.

– Nie, dziękuję – powiedziała panna Baker na widok wniesionej do salonu tacy z czterema drinkami. – Nie mogę, ponieważ moja dieta jest całkowicie podporządkowana treningom.

Gospodarz spojrział na nią z niedowierzaniem.

– Ach, te twoje treningi! – Wychylił drinka, jakby na dnie szklanki była jedynie kropla alkoholu. – To, jakim cudem w ogóle udaje ci się czegokolwiek dokonać, pozostaje dla mnie zagadką.

Patrzyłem na pannę Baker, zastanawiając się, o jakich dokonaniach mowa. Patrzenie na nią sprawiało mi przyjemność. Była smukłą dziewczyną o niewielkich piersiach i wyprostowanej sylwetce, którą podkreślała, odchylając w ramionach ciało do tyłu niczym młody żołnierz. Wyraz jej szczupłej twarzy nosił w sobie pewien uroczy cień kapryśnego niezadowolenia, jednakże z jej szarych, mrużonych pod wpływem słonecznego blasku oczu, udało mi się wyczytać zaciekawienie moją osobą, które – rzecz jasna – było w pełni odwzajemnione. Nagle przyszło mi do głowy, że już gdzieś widziałem ją albo jej zdjęcie.

– Zdaje się, że mieszka pan w West Egg – zauważyła z nutą pogardy w głosie, po czym rzuciła jakby od niechcenia: – Znam tam kogoś.

– A ja niestety nie znam tam ani jednej osoby – odparłem.

– Musi pan znać Gatsby'ego.

– Gatsby'ego? – wtrąciła Daisy. – Jakiego Gatsby'ego?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, że jest moim sąsiadem, zapowiedziano kolację. Wciskając swoje silne ramię pod moje, Tom Buchanan wyprowadził mnie z pokoju, czyniąc to w taki sposób, jakby przestawiał pionek na szachownicy z jednego pola na drugie.

Smukłe, rozleniwione, z rękami lekko opartymi na biodrach, dwie młode kobiety poprowadziły nas na różową, otwartą w kierunku zachodzącego słońca werandę, gdzie w słabnącym wietrze na stole migotały cztery świece.

– Po co te świece? – zaprotestowała Daisy, marszcząc czoło. Zgasła je palcami. – Za dwa tygodnie będzie najdłuższy dzień w roku. – Spojrzała na nas wszystkich promiennie. – Czy wy też zawsze czekacie na najdłuższy dzień w roku, a potem

go przegapiacie? Ja zawsze nie mogę się doczekać tego dnia, a potem zupełnie wylatuje mi ta data z głowy.

– Trzeba coś z tym zrobić – rzuciła panna Baker, a siadając przy stole ziewnęła tak, jakby właśnie kładła się do łóżka.

– W porządku – powiedziała Daisy. – A więc co zrobimy? Co ludzie planują na takie okazje? – zwróciła się do mnie bezradnie.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, jej zaskoczone spojrzenie skupiło się na małym palcu.

– O nie, spójrzcie! – poskarżyła się. – Skaleczyłam się.

W reakcji na jej słowa wszyscy powiedliśmy wzrokiem w stronę jej palca – jego końcówka była czarna i sina.

– Ty to zrobiłeś, Tom – powiedziała oskarżycielskim tonem. – Wiem, że nie chciałeś, ale zrobiłeś. Oto efekt wyjścia za mąż za brutala, za wielki, potężny okaz nieokrzęsanej fizycznej siły.

– Nienawidzę słowa „nieokrzęsany”, nawet w żartach – sprzeciwił się Tom.

– Nieokrzęsaniec! – ciągnęła Daisy.

Czasami Daisy i panna Baker jednocześnie rzucały jakieś uwagi. Ta wymiana zdań daleka była od lekkiej, towarzyskiej konwersacji, a raczej sprawiała wrażenie wyrachowanego przekomarzania się, tak obojętnego jak ich pozbawione emocji spojrzenia i tak zimnego jak ich białe sukienki. Owszem, były tutaj obecne i akceptowały zarówno Toma, jak i mnie, w ramach grzeczności zadając sobie trud, aby nas zabawić lub pozwolić na zabawianie ich przez nas. Wiedziały, że wkrótce kolacja się skończy, a nieco później wieczór też dobiegnie końca i pójdzie w zapomnienie. Jakże różniło się to od zwyczajów panujących wśród kobiet na Zachodzie, gdzie wieczór w pośpiechu przechodził przez z góry zaplanowane fazy, kiedy to rozczarowanie niespełnionymi obietnicami mieszało się z nadzieją, że jeszcze wydarzy się coś ekscytującego.

– Przy tobie czuję się jak człowiek niecywilizowany, Daisy – wyznałem przy drugim kieliszku bordeaux, które, choć miało posmak korka, to jednak smakowało wyśmienicie. – Czy można porozmawiać o uprawach lub czymś równie przyziemnym?

Nie miałem na myśli niczego szczególnego, ale moja uwaga została odebrana w nieoczekiwany sposób.

– Cywilizacja upada – wypalił nagle Tom. – Stałem się strasznym pesymistą. Czytałeś *Rozkwit kolorowych imperiów* Goddarda?

– Nie – odpowiedziałem, zaskoczony tonem, w który uderzył.

– Cóż, to naprawdę świetna książka i każdy powinien ją przeczytać. Chodzi o to, że jeśli nie będziemy ostrożni, biała rasa zostanie całkowicie zgładzona. To wszystko jest naukowo udowodnione.

– Tom ostatnio miewa takie głębokie przemyślenia – oznajmiła Daisy z wyrazem bezmyślnego smutku. – Czyta poważne książki, w których są długie wyrazy. Czeka, co to było za słowo...

– Cóż, takie są książki naukowe – odrzekł Tom, zerkając na nią z lekkim zniecierpliwieniem. – Ten człowiek wszystko rozpracował. My, jako rasa dominująca, musimy uważać, bo inaczej inne rasy przejmą kontrolę nad sytuacją.

– Musimy nad nimi zapanować – wyszeptała Daisy, mrugając oczyma w oślepiających promieniach słońca.

– Powinniście zamieszkać w Kalifornii – zaczęła panna Baker, ale Tom przerwał jej, przesuając się ciężko w swoim fotelu.

– Chodzi o to, że jesteśmy rasą nordycką. Ja jestem, ty i ty, i... – Po krótkim zawahaniu lekkim skinieniem głowy włączył do wyliczenia Daisy, a ona znów mrugnęła do mnie. – I to my stworzyliśmy wszystko, co składa się na cywilizację: naukę, sztukę i tak dalej. Rozumiecie?

W jego skupieniu było coś żalnego, jakby przestało mu wystarczać poczucie samozadowolenia, które przybrało rozmiary

jeszcze większe niż w dawnych czasach. Kiedy niemal w tej samej chwili zadzwonił telefon i lokaj opuścił werandę, Daisy wykorzystwała tę chwilową przerwę i pochyliła się ku mnie.

– Zdradzę ci rodzinny sekret – wyszeptała z entuzjazmem. – Chodzi o nos naszego lokaja. Chcesz posłuchać?

– Oczywiście, właśnie po to przyszedłem.

– Otóż on nie zawsze był lokajem, w przeszłości zajmował się polerowaniem sreber u pewnych ludzi w Nowym Jorku, którzy mieli serwis na dwieście osób. Musiał wszystko pucować od rana do wieczora, aż w końcu uszkodził sobie węż...

– Jego stan się coraz bardziej pogarszał – wtrąciła panna Baker.

– Tak. Sprawy przybierały coraz gorszy obrót, aż w końcu musiał odejść z pracy.

Promienie zachodzącego słońca padające na jej twarz przydawały jej romantycznego blasku. Barwa jej głosu zmuszała mnie do słuchania z zapiętym tchem. Potem, kiedy światło przygasało, każdy promyk żegnał się z nią z takim żalem, jaki czują o zmierzchu dzieci wracające z podwórka.

Lokaj wrócił i mruknął coś Tomowi do ucha. Ten zareagował natychmiast: zmarszczył brwi, odsunął krzesło i bez słowa wszedł do wnętrza domu. Jego zniknięcie poruszyło Daisy, która pochyliła się w moją stronę i swoim śpiewnym głosem powiedziała:

– Tak się cieszę, że siedzisz tu, przy moim stole, Nick. Przypominasz mi różę. Tak, jesteś jak idealna róża. Czyż nie? – zwróciła się do panny Baker, prosząc ją o przytaknięcie swojemu skojarzeniu. – Czyż on nie jest zupełnie jak róża?

To w żadnym razie nie było prawdą. Nie jestem nawet w najmniejszym stopniu podobny do róży, jednak Daisy brnęła dalej w to urocze kłamstwo, i trzeba przyznać, że jej słowa, niemające nic wspólnego z rzeczywistością, pulsowały ciepłem jakby wychodziły wprost z jej gorącego serca. A potem gwałtownie rzuciła serwetkę na stół, przeprosiła i skierowała kroki w stronę domu.

Wymieniliśmy z panną Baker krótkie spojrzenia, świadomie ukrywając emocje. Już miałem się odezwać, ale natychmiast syknęła: „ciii”, powstrzymując mnie, zanim wypowiedziałem choć jedno słowo. W pokoju obok słychać było przytłumiony, nerwowy szept, a panna Baker bez skrępowania pochyliła się do przodu, próbując coś podsłuchać. Szept balansował na granicy słyszalności, co utrudniało wyłuskanie z niego jakichś zrozumiałych słów. To opadał, to narastał w uniesieniu, a potem zupełnie ustał.

– Ten pan Gatsby, o którym pani wspominała, jest moim sąsiadem – powiedziałem.

– Cicho, nie teraz. Chcę usłyszeć, co się stanie.

– A coś się dzieje? – zapytałem niewinnie.

– Doprawdy, czyżby pan nie wiedział? – panna Baker była szczerze zaskoczona. – Myślałam, że wszyscy wiedzą.

– Nie, ja nie wiem.

– No więc... – zaczęła z niezdecydowaniem. – Tom ma jakąś kobietę w Nowym Jorku.

– Ma jakąś kobietę? – powtórzyłem mechanicznie.

Panna Baker przytaknęła.

– Mogłaby mieć na tyle przyzwoitości, żeby nie dzwonić do niego w porze kolacji, czyż nie mam racji?

Zanim zdążyłem pojąć, o co jej chodzi, usłyszałem szelest sukienki i chrzęst skórzanych butów, a Tom i Daisy wrócili do stołu.

– Siła wyższa! – oznajmiła Daisy i od razu wyczułem w tonie jej głosu sztuczną wesołość.

Usiadła, spojrzała badawczo na pannę Baker, a potem na mnie i kontynuowała:

– Wyrzałam na chwilę na zewnątrz, tam jest tak romantycznie. Na trawniku przysiadł jakiś ptak, moim zdaniem to słowik, który dotarł tutaj przez ocean statkiem linii Cunard lub White Star. Ćwierka

sobie – powiedziała, niemal śpiewając. – To takie romantyczne, prawda, Tom?

– Bardzo romantyczne – powiedział bez przekonania, a potem zwrócił się do mnie. – Jeśli po kolacji będzie jeszcze wystarczająco jasno, zabiorę cię do stajni.

W środku rozmowy rozległ się dzwonek telefonu, a gdy tylko Daisy potrząsnęła zdecydowanie głową w stronę Toma, temat stajni, a właściwie wszystkie tematy rozplynęły się w powietrzu. Wśród fragmentarycznych wspomnień ostatnich pięciu minut spędzonych przy stole zapamiętałem, że znów bez potrzeby zapalono świece i że paradoksalnie, choć chciałem nawiązać kontakt wzrokowy z każdym, to jednocześnie unikałem wszelkich spojrzeń. Nie mogłem odgadnąć, o czym myślą Daisy i Tom, ale wątpię, czy nawet tak zdystansowana i pełna rezerwy osoba jak panna Baker była w stanie całkowicie wyprzeć z pamięci krzykliwy, metaliczny dźwięk dzwonka, który wtargnął w naszą przestrzeń i zasiadł do stołu niczym nieproszony piąty gość. Na pewno znalazłyby się osoby, którym sytuacja mogłaby wydawać się intrygująca – we mnie jednak wzbudzała niepokój i skłaniałbym się raczej ku temu, by wezwać policję.

Nie trzeba dodawać, że o przechadzce do stajni i o koniach nie było już mowy. Tom i panna Baker w grobowych nastrojach, podkreślanych przez zapadający mrok, udali się do biblioteki, jakby w tym ustronnym miejscu mieli czuwać przy jakichś zwłokach, podczas gdy ja, starając się okazać zainteresowanie i udając głuchego na zasłyszane sprawy, podążyłem za Daisy, mijając łańcuch połączonych werand, aż do frontowego ganku. W jego głębokim mroku usiedliśmy obok siebie na wiklinowej kanapie.

Daisy ujęła swoją twarz w dłonie, jakby pragnęła poczuć jej piękny kształt, a jej oczy stopniowo przesuwały się w stronę aksamitnego zmiętku. Zauważyłem, że targają nią burzliwe emocje, więc zadałem kilka uspokajających pytań o jej córeczkę.

– Nie znamy się zbyt dobrze, Nick – powiedziała nagle. – Nawet jak na rodzinę. Nie było cię na moim ślubie.

– Byłem na wojnie.

– To prawda. – Zawahała się. – Cóż, wiele przeszłam, Nick, i stałam się dość cyniczna.

Widocznie miała ku temu powody. Poczekiałem, ale nic więcej nie powiedziała, więc po chwili dość niezgrabnie wróciłem do tematu córki.

– Przypuszczam, że ona już mówi i... je, i tym podobne?

– O tak. – Daisy spojrzała na mnie nieobecny wzrokiem. – Słuchaj, Nick, pozwól, że opowiem ci, jak przeżyłam jej narodziny. Chciałbyś wysłuchać?

– Bardzo.

– Może dzięki temu zrozumiesz, co czuję. Otóż... miała niecałą godzinę, a Tom był Bóg wie gdzie. Wybudziłam się z narkozy z poczuciem całkowitego osamotnienia i natychmiast zapytałam pielęgniarkę, czy urodził się chłopiec, czy dziewczynka. Kiedy powiedziała mi, że to dziewczynka, odwróciłam głowę i wybuchłam płaczem. „W porządku”, powiedziałam, „cieszę się, że to dziewczynka. I mam nadzieję, że będzie głupiutka; to najlepsze, co może spotkać dziewczynkę na tym świecie; być piękną, słodką idiotką”. Widzisz, dla mnie wszystko stało się teraz takie straszne – mówiła dalej z przekonaniem. – Każdy dochodzi do tego wniosku, wszyscy mądrzy ludzie. Ja też to wiem, zaznałam tego na własnej skórze. Byłam wszędzie, widziałam wszystko i wszystko robiłam. – Jej oczy błysnęły wyzywająco, podobnie jak oczy Toma, i zaśmiała się z przejmującą pogardą. – Zmanierowana... Boże, jaka stałam się zmanierowana!

W momencie, gdy jej głos ucichł i przestał przykuwać moją uwagę, zrodziło się, a potem tylko przybierało na sile przekonanie, że wszystko, co mówiła, jest nieszczerze. Poczułem się niezręcznie, gdy uświadomiłem sobie, że cały ten wieczór mógł być tylko jakąś

sztuczką, która miała na celu wzbudzić we mnie jakieś emocje. Poczekaliśmy chwilę w milczeniu, a ona po chwili spojrzała na mnie z takim uśmieszkiem na swej słodkiej twarzyczce, jakby potwierdzała swoją przynależność do dość dystyngowanego tajnego stowarzyszenia, do którego należała wraz z Tomem.

We wnętrzu domu szkarłatne pomieszczenie biblioteki rozbliło światłem. Tom i panna Baker siedzieli na końcach długiej kanapy. Dziewczyna czytała mu na głos „Saturday Evening Post”, a jej słowa, jak nuty jednostajnego szeptu, układały się w kojącą melodię. Światło lampy, odbijające się jasnym refleksem od jego butów i matowe na jej włosach, o barwie przypominającej żółć jesiennych liści, błyszczało na stronach gazety, gdy przewracała strony, napinając mięśnie smukłych ramion.

Kiedy weszliśmy, uniesieniem ręki nakazała nam przez chwilę zachować ciszę.

– Ciąg dalszy nastąpi – powiedziała, rzucając czasopismo na stół – w kolejnym numerze.

Nerwowo poruszyła kolanami i wstała.

– Dziesiąta – zauważyła, nie sprawdzając na żadnym zegarze godziny, a podając ją jedynie orientacyjnie. – O tej porze grzeczne dziewczynki chodzą spać.

– Jordan zagra jutro w turnieju w Westchester – wyjaśniła Daisy.

– Aha, więc to pani jest Jordan Baker.

Teraz już wiedziałem, dlaczego jej twarz wydała mi się znajoma – jej miły i zarazem nieco pogardliwy wyraz spoglądał na mnie z wielu zdjęć w gazetach poświęconych wydarzeniom sportowym w Asheville, Hot Springs i Palm Beach. Obiły mi się o uszy jakieś plotki na jej temat, ale dawno już zapomniałem, o co chodziło.

– Dobranoc – powiedziała cicho. – Obudź mnie o ósmej, dobrze?

– Jeśli wstaniesz.

– Spokojnie, wstanę. Dobranoc, panie Carraway. Do zobaczenia wkrótce!

– Pewnie – potwierdziła Daisy. – Właściwie to zamierzam was wyswatać. Wpadaj częściej, Nick, a ja zrobię, co w mojej mocy, żeby was... jakoś połączyć. No wiesz, zamknę was przypadkowo w garderobie, wyprawię was samych łodzią na morze i takie tam...

– Dobranoc – zawołała ze schodów panna Baker. – Nie słyszałam ani słowa.

– To miła dziewczyna – powiedział po chwili Tom. – Nie powinni jej pozwalać, by tak ciągle się włóczyła po całym kraju.

– Kto nie powinien? – zapytała chłodno Daisy.

– Jej rodzina.

– Jej rodzina to jedna ciotka, która ma chyba z tysiąc lat. Poza tym Nick się nią zaopiekuje. Prawda, Nick? Tego lata Jordan będzie tu spędzać wiele weekendów. Myślę, że atmosfera naszego domu dobrze na nią wpłynie.

Daisy i Tom przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– Czy ona jest z Nowego Jorku? – zapytałem, by przerwać niezręczną ciszę.

– Z Louisville. Tam spędziłyśmy wspólnie nasze niewinne dziewczęce lata. Nasze piękne, czyste...

– Zwierzałaś się Nickowi na werandzie? – niespodziewanie zagadnął Tom.

– Czy ja się tobie zwierzałam, Nick? – Daisy wymownie na mnie spojrzała. – Z tego, co pamiętam, zdaje się, że rozmawialiśmy o rasie nordyckiej. Tak. Jestem tego pewna. Jakoś tak nam się przypomniało, że wcześniej pojawił się ten temat i po prostu poszliśmy dalej...

– Nie wierz we wszystko, co ona mówi, Nick – poradził mi Tom.

Odpowiedziałem zdawkowo, że nic nie słyszałem, a kilka minut później wstałem, żeby udać się do domu. Odprowadzili mnie do drzwi, stając razem w słupie światła. Gdy tylko uruchomiłem silnik, Daisy zawołała:

– Poczekaj! Zapomniałam cię o coś zapytać, a to ważne. Słyszeliśmy, że zaręczyłeś się na Zachodzie z jakąś dziewczyną. Czy to prawda?

– To musi być prawda – potwierdził uprzejmie Tom. – Też o tym słyszałem.

– Nic podobnego. Jestem zbyt biedny, żeby się zaręczać.

– Ale wszyscy to powtarzają! – upierała się Daisy, zaskakując mnie, że aż tak draży ten temat. – Potwierdziły to trzy osoby, więc to musi być prawda!

Oczywiście wiedziałem o plotkach na temat moich rzekomych zaręczyn, ale nie miało to pokrycia w faktach. Pogłoski o tym, że dałem na zapowiedzi i wkrótce zostanę mężem, były jednym z powodów, dla których wyjechałem na Wschód. Z jednej strony nie warto zrywać starych przyjacielskich więzi tylko z tego powodu, że ludzie coś rozpowiadają, a z drugiej strony nie miałem zamiaru dać się wrobić w małżeństwo zaaranżowane przez plotkarzy.

Z początku zainteresowanie Daisy i Toma moją osobą wzruszyło mnie i sprawiło, że ich bogactwo nie stwarzało już między nami takiego dystansu – mimo to, odjeżdżając, czułem się zdezorientowany i odrobinę zde gustowany. Wydawało mi się, że Daisy, postawiona w takiej sytuacji, powinna uciec z domu z dzieckiem na ręku, ale ona najwyraźniej nie miała takich zamiarów. Jeśli chodzi o Toma, to fakt, że „miał jakąś kobietę w Nowym Jorku”, był naprawdę mniej zaskakujący niż to, że aż tak bardzo przejmował się tym, co znalazł w jakiejś książce. Coś sprawiało, że nadgryzał brzegi przestarzałych idei, jakby zachwyty własnym ciałem nie mógł już zaspokoić jego władczego serca.

Na dachach mijanych zajazdów i przed warsztatami samochodowymi, gdzie w kałużach światła pławiły się nowe,

czerwone dystrybutory paliwa, widać już było, że to pełnia lata. Kiedy dotarłem do swojej posiadłości w West Egg, podprowadziłem samochód pod wiatę i usiadłem na chwilę na porzuconym na podwórku walcu do trawy. Wiatr przycichł, pozostawiając za sobą głośną, jasną noc, wypełnioną dźwiękami orkiestry świerszczy i żabich chórów. W świetle księżycy zamajaczyła sylwetka kota, a gdy odwróciłem głowę, by mu się przyjrzeć, dostrzegłem, że nie jestem sam – kilkanaście metrów dalej z cienia rzucanego przez posiadłość mojego sąsiada wyłoniła się postać z rękami w kieszeniach, wpatrująca się w niebo upstrzone srebrnym pieprzem gwiazd. Coś w niespiesznych ruchach i ustawieniu stóp na trawniku podpowiedziało mi, że to sam pan Gatsby wyszedł, aby określić, ile udziałów w naszym lokalnym niebie należy do niego.

Postanowiłem go zagadnąć. Panna Baker wspomniała o nim przy kolacji, a to mogło wystarczyć za pretekst do nawiązania rozmowy. Jednak nie uczyniłem tego, bo nagle odczytałem z jego zachowania, że cieszy się swoją samotnością. Otóż w osobliwy sposób wyciągnął ręce w stronę ciemnej tafli wody i mimo że znajdowałem się w pewnej odległości, mógłbym przysiąc, że dygocze. Mimowolnie zerknąłem w stronę morza – i nie dostrzegłem nic poza pojedynczym zielonym światłem, małym i odległym, które mogło wyznaczać koniec jakiegoś pomostu. Kiedy jeszcze raz poszukałem wzrokiem Gatsby'ego, ten zniknął, a ja znów byłem sam w budzącej niepokój ciemności.